



KLIMIEK

**POLSKIE TOWARZYSTWO TATRZAŃSKIE
BIULETYN INFORMACYJNY ZARZĄDU
ODDZIAŁU SOSNOWIEC**



ROK XIII

KWIECIEŃ 2008

2(47)

Uroki Szkocji- Edynburg

Na zaproszenie naszych sosnowieckich przyjaciół Agnieszki i Patryka Kolan wybraliśmy się ponownie z Anią na Święta Wielkanocne 2008 roku do Edynburga – przepięknej stolicy wspaniałej Szkocji.

Planowaliśmy w tym roku spenetrować okolice Edynburga, ponieważ w zeszłym roku swój wolny czas poświęciliśmy na zwiedzanie miasta, a było co zobaczyć, ponieważ stolica jest wizytówką Szkocji, a jednocześnie jest kosmopolitycznym ośrodkiem z bogatym życiem kulturalnym.

Miasto wzniesiono na stokach wygasłych wulkanów i skalistych zboczach, które górują nad niziną okolicą Lothian. Od północy ogranicza Edynburg nieregularna linia wybrzeża zatoki Firth of Forth. Centrum miasta dzieli się wyraźnie na dwie części. Na północ od Castle Rock znajduje się eleganckie Nowe Miasto, utrzymane w stylu greckiego klasycyzmu – cel naszych spacerów i zakupów. Zostało ono wzniesione w dobie oświecenia, wg starego planu zakładającego poprawę warunków życia mieszkańców. Stare Miasto z siecią krętych uliczek, ciasnych zaułków, zachowało średniowieczny charakter, powstało ono w wyniku rozbudowy dwóch bliźniaczych grodów Edynburga i Canongate na przestrzeni 650 lat istnienia obu miast.

Nad Starym Miastem góruje ozdobiony malowniczymi wieżami zamek. Spod jego murów strome ulice zbiegają aż do stóp królewskiego Palace of Holyroodhouse. Na tym obszarze znajdują się wszystkie najważniejsze zabytki, z okresu kiedy miasto pełniło rolę stolicy kraju. Tuż za murami pałacu (oficjalnej letniej rezydencji królowej Elżbiety w Szkocji) rozpościera się Holyrood Park, dający przedsmak piękna dzikiego krajobrazu Szkocji. Nad rozległym obszarem zieleni dominuje Arthurs Seat największy i najpiękniejszy z tutejszych wygasłych wulkanów (247 m npm), z którego otwiera się wspaniały widok na Stare Miasto i cały Edynburg z przepięknym widokiem na zatokę i dzielnicę portową.

W przyszłym roku chcemy się wybrać do tego pięknego miasta na przełomie wakacji (chociaż wiem, że będzie to trudne), kiedy to w mieście odbywa się Międzynarodowy Festiwal, który ściąga do stolicy Szkocji około miliona osób. W Edynburgu odbywa się wiele festiwali, chciałby wymienić chociaż najważniejsze:

- New Europe Fil Festiwal
- Ceilidh Culture
- Edinburgh Fashion Festiwal

- TriptychT
- Mary King's Ghost Fest
- Children's International Theatre Festival
- Leith Festival
- Edinburgh Art Festival
- Edinburgh Jazz & Blues Festival
- Edinburgh Military Tattoo
- The Festival of Spirituality and Peace
- Fringe Festival
- Edinburgh International Book Festival
- Edinburgh International Film Festival
- Edinburgh Mela
- Scottish Storytelling Festival
- Africa in Motion
- Edinburgh's Hogmanay

W mieście znajduje się wiele muzeów. W National Gallery of Scotland można obejrzeć dzieła dawnych mistrzów, a w jednym z jej działów Scottish Gallery of Modern Art. Mieści się najstarsza w Wielkiej Brytanii kolekcja malarstwa i rzeźby XX wieku.

Nam udało się zobaczyć wspaniałe dzieła Rubensa, Tycjana, Picassa, Warhola, Rembrandta i innych mistrzów: flamandzkiej, niderlandzkiej, niemieckiej, hiszpańskiej i włoskiej palestry. Wrażenia i wspomnienia spacerów po jego muzeach pozostaną nam w pamięci na długie lata.

Wracając w krąg spraw bardziej przyziemnych wypada nadmienić, że charakterystyczne dla Edynburga howffs (puby) oraz tradycja browarniczo-gorzelnicza przysporzyły mu sławy miasta, w którym nie gardzi się mocniejszymi trunkami. Obecność czterech uniwersytetów oraz kilku szkół wyższych sprawiła, że przez większość roku w mieście jest obecna młodzież, która nieco ożywia sztywną atmosferę szkockiej stolicy uważaną przez nich za jej największą wadę. W tym odcinku wspomnień chciałbym się skupić na rezydencji królewskiej, i legendzie, która opowiada o jej założeniu w 1128 r, a została zapisana na przechowywanym tu XV wiecznym manuskrypcie.

Royal Botanic Garden oraz kaplicę Rosslyn i inne warte opisu zabytki, zrelacjonuję w następnym artykule, jest o czym pisać.

Według legendy król Dawid I, syn Malcolma Cannore i św. Małgorzaty wybrał się pewnego dnia na polowanie. Nagle pojawił się przed nim jeleni, który zrzuciwszy go z konia, usiłował przebić go rogiem. Próbuąc rozpaczliwie się bronić król zdołał uchwycić go za rogi, lecz okazało się, że napastnik zniknął, a w ręku trzymał krzyż. Tej samej nocy śniło mu się, że słyszy głos nakazujący „zbudowanie domu dla kanoników, którzy poświęcili się dla krzyża”.

Dawid posłuchał rozkazu i nadał nowemu opactwu nazwę Holyrood (Święty Krzyż). Bliższa rzeczywistość jest jednak wersja, że Dawid, najbardziej bogobojny, ze wszystkich monarchów Szkocji, zdobył relikwie Drzewa Krzyża Chrystusowego i zdecydował się zbudować dla nich odpowiednią świątynię.

Holyrood, wkrótce stała się rezydencją królewską. Położone w zacisznej dolinie, stanowiło niewątpliwie wygodniejszą siedzibę, niż zamek, wystawiony na działanie wiatru i przeciągów.

Początkowo królowie zamieszkiwali w domu dla gości, uruchomionym w skrzydle za panowania Jakuba II. Skrzydło to zostało wzniesione obok opactwa. Za czasów Jakuba IV skrzydło zostało rozbudowane do rozmiarów prawdziwego pałacu. W czasach Karola II zastąpiono je o wiele większym budynkiem, jednak król nigdy w nim nie zamieszkał. Pałac pozostał przez jakiś czas opustoszały, dopiero królowa Victoria zaczęła odwiedzać swoje północne królestwo, który to zwyczaj kontynuowany jest do dzisiaj przez jej następców.

Po północnej stronie Abbey Strand, która stanowi rodzaj drogi procesyjnej łączącej Canongate z Holyrood, stoi czteropiętrowy budynek z XVI w. zwany Abbey Lairds. Niegdyś służył jako dom dla arystokratycznych dłużników, a dziś zajmuje go służba królowej podczas letniego pobytu dworu w Edynburgu. Legenda głosi, że Maria Stuart kąpała się w słodkim białym winie w pobliskim ozdobionym wieżyczkami budynku nazwanym Queen Marys Bath House (Łazienki królowej Marii). Prawdopodobnie jednak pełnił on funkcję bądź letniego pawilonu, bądź gołębnika.

Jego kształt powtarza wiernie malowniczy wzniesiony na planie litery „L”, usytuowany w zacisznym omijanym zakątku obok wschodniej ściany budynku Palace of Holyroodhouse, obecny kształt otrzymał w XVII w. dzięki rozbudowie przeprowadzonej na rozkaz Karola II. Wieża starego pałacu została harmonijnie wkomponowana w całość zespołu, tworząc jego północno-zachodnią część. Jej lustrzane odbicie stanowi skrzydło wzniesione na przeciwnym końcu.

Trójkondygnacyjny dziedziniec jest świadectwem wczesnych prób zastosowania stylu palladiańskiego. Wnętrze pałacu Karola II określono powszechnie nazwą apartamentów państwowych zyskało wspaniały wystrój. Wyłożono je dębowa boazerią, ozdobiono gobelinami, portretami i malarstwem dekoracyjnym. Jednak nade wszystko godne uwagi są wspaniałe sufity pokryte stiukami. Największy zachwyt wzbudziła Wielka Galeria, która zajmuje całe I piętro północnego skrzydła.

Podczas pobytu w Edynburgu księcia Karola Edwarda Stuarta w tej właśnie sali odbył się bankiet opisany szczegółowo w powieści Scota Waverley- i nadal jest ona wykorzystywana do urządzania wielkich uroczystości.

Ściany zdobi 89 portretów zamówionych w XVII w. u holenderskiego malarza Jacoba de Veta, który otrzymał zadanie ukazania rodowodów królów Szkocji.

Najstarsza część pałacu Apartamenty Historyczne zasługują na uwagę głównie ze względu na krwawy epizod związany z Marią Stuart. Lord Darny mąż Marii zorganizował morderstwo, którego ofiarą padł osobisty sekretarz królowej Dawid Rizzio. Ofiara otrzymała 56 pchnięć nożem i była wleczona z małej izdebki przez pokój sypialny aż do komnaty zewnętrznej. Jeszcze kilka lat temu można było zobaczyć plamę krwi której rzekomo nie dało się usunąć.²⁶

Na terenie pałacu znajduje się wiele rzeczy działających na wyobraźnię. W miejscu obecnych ruin stał pierwotnie kościół normandzki wzniesiony w czasach Dawida I. Jedynym jego fragmentem, który przetrwał do dziś jest wejście widoczne w odległym południowo-wschodnim narożniku.

Ruiny zachodniej fasady, dwie bliźniacze wieże, rzeźbiony portal, ukazują jak piękne i okazałe musiało być kiedyś opactwo.

Opisana letnia rezydencja pozostawiła na nas duże wrażenie estetyczne. Nie udało się nam zwiedzić rezydencji w zeszłym roku ze względu na zamknięcie galerii co skrzętnie uczyniliśmy teraz, poświęcając na to prawie cały dzień., korzystając z rosyjskie tłumaczenia i opisów poszczególnych sal, komnat i wspaniałej galerii.

Będąc na dziedzińcu pałacu wczuliśmy się w klimat kilkuset- letniej monarchii, wrażenie to potęgowało spoglądanie na opisane ruiny opactwa oraz Holyrood Park- albo Park Królowej, bo to kwatery dzikiej przyrody w sercu nowoczesnego miasta. Rozległy park (jego średnica wynosi ok.8 km) należy niewątpliwie do największych skarbów Edynburga, które mieszkańcy (znacznie mniej turyści) bardzo sobie cenią. Jest bardzo zróżnicowany pod względem krajobrazowym- góry, strome zbocza, wrzosowiska, mokradła, doliny, górskie jeziora i pola reprezentują wszystkie typy szkockiego pejzażu. Park okrąża droga Queens Drive, umożliwiającą obejście wielu zakątków za szyb samochodu.

Nie sposób jednak poznać w pełni uroków Holyrood Park, nie przemierzając go pieszo- co skrzętnie zresztą uczyniliśmy, poświęcając na pieszą wędrówkę ok. 4 godz.

Naprzeciw południowych bram pałacu rozpoczyna się ścieżka, zwana Radicol Road, która wspina się na zbocza u stop Solisbury Craps, urwiska stanowiącego jeden z najbardziej charakterystycznych widoków Edynburga.

Ambitni mają do wyboru kilka innych dłuższych i technicznych podejść z rozmaitych punktów na terenie parku. Widok ze szczytu stanowi godną nagrodę za trud wspinaczki na wygasłe wulkany: obejmujące całe miasto i fragment zatoki Firth of Forth, a przy dobrej pogodzie można było zobaczyć i to zobaczyliśmy południową część łańcuchów Highlands.

Kompozytor Feliks Mendelssohn, który wspiał się na Arthurs Seat w lipcu 1829 roku napisał: „Jakże tu pięknie. Przy orzeźwiającej wieczornej bryzie wszystko jawi się jasno i wyraźnie na tle szarego nieba, a światła w oknach migają niczym brylanty”.

Nie wiele, lub zgoła nic łączy Arthurs Seat z brytyjskim królem Arthurem i historią o świętym Graalu, nie zachowała się żadna legenda wyjaśniająca nadanie górze jej nazwy.

Po trudach „górskiej” wędrowki po wspaniałym Parku udaliśmy się w celu duchowego odpoczynku” w kierunku Nowego Miasta gdzie znajduje się Royal Botanic Garden (Królewski Ogród Botaniczny), którego można zwiedzać w miesiącach V-VIII w godz.10:00-20:00, w miesiącach III, IV, IX, i X w godz.10:00-18:00, oraz w miesiącach XI-XII w godz.10:00-16:00, zajmujący obszar 28 ha, do którego prowadzą dwa wejścia: od Inverleith Rd i Aboretum Place. Słynie zwłaszcza z rododendronów. W centrum ogrodu można zobaczyć kilka cieplarni, gdzie można obejrzeć orchidee, amazońskie lilie wodne, oraz drzewa palmowe z Indii Zachodnich, które mają 200 lat. Rośną one w palmiarni ze szklanym dachem zbudowanym w latach 50-tych XIX w. Niedawno w ogrodzie powstał wielki ogród w stylu chińskim, w którym znajduje się pawilon, wodospad i największa w świecie (poza Chinami) kolekcja chińskiej roślinności z tego kraju, w którym spotkać można było wiele gatunków ptaków oraz wszędobylskie szare oswojone wiewiórki, które niemiłosiernie ogołacały nas z posiadanych ziemnych orzeszków.

Niedaleko ogrodu przy 10 Warriston w 1847 r przez kilka miesięcy mieszkał Fryderyk Chopin, co upamiętnia tablica na kamieniu.

Po skończonej wędrowce i aktywnym wypoczynku w Palmiarni i Ogrodzie Botanicznym udając się do centrum miasta koreciło nas wejście po schodach na Calton Hill skąd rozciąga się przepiękna panorama Edynburga. Zrealizowaliśmy ten projekt, ale na drugi dzień po zasłużonym odpoczynku.

Na w/w wzniesieniu stoi przypominający fragment Partenonu monument upamiętniający ofiary wojen napoleońskich. Właśnie jemu Edynburg miał zawdzięczać tytuł Aten Północy.

Z Calton Hill udaliśmy się na nadmorską promenadę Portobello nad zatoką, gdzie można było pooddychać północno morską bryzą i pospacerować po „zimnej szerokiej plaży”.

Spacerując po Edynburgu należy uważać na wyjątkowo zmienną szkocką pogodę. W ciągu jednego dnia, co zresztą odczuliśmy na własnej skórze, można było doświadczyć wszystkich pór roku, od pięknego słońca marcowego, poprzez silny wiatr, deszcz, gęstą mgłę aż po śnieg z gradem. Pogoda nie przeszkadza jedynie Szkotom, którzy nawet w lutym czy marcu potrafią chodzić w krótkich spodniach czy bluzkach na ramiączkach.

Jednym z najcenniejszych zabytków znajdujących się w okolicy Edynburga jest niewątpliwie położona 6 minut na południe od Edynburga Rosslyn Chapel w której podobno templariusze przechowywali Świętego Grała. W przeszłości planowano w tym miejscu budowę wielkiej kolegiaty pod wezwaniem św. Mateusza, ale po zbudowaniu prezbiterium i kaplicy Matki Boskiej w 1484 r fundator zmarł i prace wstrzymano. W czasie naszego pobytu kaplica przechodziła gruntowny remont, ponieważ piaskowiec z którego jest zbudowana na zewnątrz w czasie prac renowacyjnych zaczął się pokrywać zielonym kolorem. I obecnie wielu fachowców głowi się jak doprowadzić to „cacko” architektury do dawnej świetności.

Na zewnątrz kaplica obłożona została stalowymi rusztowaniami, dzięki którym mogliśmy z bliskiej odległości podziwiać piękne przypory, sterczyny i rzygacze, a we wnętrzu niezwykle dekoracje roślinne, wykonane z naukową dokładnością. Za sprawą niezliczonych i misternych rzeźb figuralnych kaplica zyskała przydomek Biblii wykutej w kamieniu. Najwspanialsze i najbardziej oryginalne rzeźbienia znajdują się na Apprentice Pillar (kolumnie czeladnika).

Według miejscowej legendy kolumna została wykonana przez ucznia pod nieobecność mistrza, który za wynik ukończonej pracy zabił czeladnika w porwywie zazdrości. Mała głowa mężczyzny z rozciętym czołem widoczna w najwyższym punkcie sklepienia w odległym północno-zachodnim narożniku uchodzi za podobiznę autora- po przeciwnej stronie znajduje się głowa jego mordercy.

Pisząc ten artykuł celowo ominąłem główną atrakcję turystyczną Edynburga- zamek i kilka fascynujących zabytków związanych z długą i bogatą historią Szkocji, ponieważ uważam, że trzeba im poświęcić kilka cykli w następnych numerach „Klimka”, a warto je opisać i przekazać nowym czytelnikom i miłośnikom turystyki.

W następnym odcinku opiszę tegoroczne wrażenia z naszych wypraw do Glasgow, gdzie spędziliśmy jeden dzień zwiedzając Museum of Transport, Burrell Collection oraz pięknego miasta Stirling wraz z okolicą oraz cud techniki wodnej w Falkirk.

Opracowanie: Zbigniew Zawila

**„Wspomnienia o Mount Evereście i Nanga Parbat” relacja Reinholda Messnera-
Przedruk z „Dziennika Zachodniego”-26.04.2008**

Wspomnienia o Mount Evereście i Nanga Parbat

Spora gratka czeka na miłośników wspinaczki w najwyższych górach świata, którzy zdecydują się jechać do Bolzano we Włoszech.

W działającym tam Górskim Muzeum Reinholda Messnera „Firmian” otwarto specjalną wystawę pt. „Zdemaskowany Everest – samotna Nanga Parbat”, która dedykowana jest wyprawom na Mount Everest i Nanga Parbat. Oglądać ją można do 30 listopada br.

Na wystawie prezentowane są obrazy autorstwa Szerpów, którzy towarzyszyli dwójce alpinistów podczas wypraw, jak również drewniane rzeźby znanych alpinistów, wykonane przez miejscowego artystę z Val Gardeny, Thomasa Comptoi.

Można też zapoznać się z pamiątkami, które Messner prowadził podczas swych wypraw.

30 lat temu, 8 maja 1978 roku, Messner jako pierwszy w historii alpinizmu zdobył bez wspomagania butlą tlenową najwyższą górę świata – Mount Everest (8848 m n.p.m.). Jest pierwszym człowiekiem, który zdobył Koronę Himalajów, czyli wspiął się na wszystkie, czternaście ośmiotysięczników.

W maju 1978 roku podczas wyprawy na Mount Everest towarzyszył mu Peter Habeler. W tym samym roku austriacki himalaista, już samotnie, podjął udaną próbę zdobycia Nanga Parbat (8.126 m).
(mim)



Reinhold Messner jako pierwszy zdobył Koronę Himalajów

Wiedziałem, jak przeżyć

To były sekundy. Kiedy śnieg na mnie runął, wystawiłem do góry czekan. Inaczej by mnie zadusiło

ROZMOWA Z
Arturem Hajzerem*

BARTŁOMIEJ KURAS: Jak doświadczony himalaista mógł dać się zaskoczyć zimowym warunkom w Tatrach?

ARTUR HAJZER: Szliśmy w niedzielę w trójkę granią Tatr Zachodnich. Wiedziałem o zagrożeniu lawinowym, bardzo ostrożnie poruszałem się po śnieżnych nawisach. Gdy stanąłem na kolejnym w rejonie Ciemniaka, śnieg się ruszył. Nie bezpośrednio przede mną, tylko wokół grani pojawił się obrys. To były sekundy, zalewający się śnieg poderwał mi nogę, drugą stałem na grani. Potem już poszło, zostałem porwany przez lawinę. Pierwszy raz w życiu.

Ile to trwało?

- Zjazd z lawiną jakieś 10 s. Gdy ratownicy TOPR wygrzebali mnie ze śniegu, zobaczyłem, że lawina była potężna. Miała jakieś 400 m długości.

Mogła zabić?

- Wyjście z lawiny bez obrażeń to cudowne ocalenie. Zrobiłem jednak wszystko, by nie dać się zasypać.

Czyli co?

- Jak tylko ruszyła lawina, starałem się utrzymać na powierzchni. Położyłem się na plecach, rozpostarłem szeroko ręce i nogi. W jednej ręce miałem czekan. I tak jechałem, jak w rynnę,



*Artur Hajzer, himalaista, dokonał z Jerzym Kukuczką pierwszego zimowego wejścia na Annapurnę. Na zdjęciu: TOPR-owcy wykopują porwanego przez lawinę Hajzera

nogami w dół. Dzięki takiej pozycji przez cały czas byłem na powierzchni. Dopiero kiedy lawina się zatrzymała, zostałem zasypany masami śniegu. Poczulem ogromny ciężar. Wystawiłem do góry rękę z czekanem. Tak wybiłem niewielką dziurkę, przez którą cały czas widziałem niebo i miałem dopływ powietrza. Mogłem ruszać tylko nadgarstkami i dłońmi. Reszta ciała była jak zabetonowana. Po 20 minutach usłyszałem śmigłowiec. Wiedziałem, że zostałem uratowany.

Dzięki czekanowi?

- Dobrze, że ratownicy TOPR dostrzegli moją rękę z czekanem. Ale nawet bez tego zostałem uratowany, skoro tak szybko dotarli na miejsce. Miałem tzw. pipsa, czyli nadajnik. Odbiornik ratowników pozwala zlokalizować miejsce nadawania pod śniegiem. Gdyby nie pipsa, mógłbym jeszcze liczyć na odnalezienie przez psy. Mogłem czekać na pomoc do ośmiu godzin, później całkowicie wychłodziłby się organizm. ●

STANISŁAW KRZYSZTOFOWSKI/SABAŁA

Serce zostało w górach

Kiedy tylko mógł, wrywał się na tatrzańskie szlaki i ścieżki. I nie przestawał przez całe życie dzielić się tą miłością z innymi. Tadeusz Jan Henryk Szczerba urodził się 15 lipca 1926 roku w miejscowości Porąbka Pekin. Chodził do sosnowieckiego liceum im. Stanisława Staszica. Był też absolwentem Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Przez długie lata pracował w gliwickim Biprohucie i Hutmaszprojekcie. Zmarł 9 lutego 2003 roku w Gliwicach. Właśnie mija pięta rocznica odejścia Tadeusza Szczerby, patrona gliwickich przewodników tatrzańskich.

Jego nazwisko rozpoznają wszyscy miłośnicy gór – był założycielem i wieloletnim prezesem Koła Przewodników Tatrzańskich przy Polskim Towarzystwie Turystyczno-Krajoznawczym w Gliwicach, przewodnikiem tatrzańskim I klasy, instruktorem przewodnictwa tatrzańskiego, twórcą ośrodka tatrzańskiego w Gliwi-

cach i wielkim znawcą Tatr. W szczególności zaś słowackich Tatr Zachodnich i Wysokich.

– Nie tylko sam chodził po górskich ścieżkach, no i zarażał tym bakcylem całą swoją rodzinę, ale także należał do zapalonych propagatorów gór – wspomina jego córka, Krystyna. Stąd także pomysł przekazanie tej wiedzy innym w postaci wydawanych książek. To właśnie z jego wydawnictwami w dłoni wielu piechurów wyruszało i wyrusza na tatrzańskie szlaki. Tadeusz Szczerba znany jest bowiem jako autor licznych przewodników turystycznych oraz map grzbietowych i materiałów szkoleniowych.

Wydawał je samodzielnie, między innymi „Polskie Tatry Wysokie – przewodnik turystyczny”, „Słowackie Tatry Wysokie – przewodnik”, „Tatry Bielskie – przewodnik turystyczny”, „Choczańskie Wierchy i okolice – przewodnik turystyczny”.

Inne przygotował wspólnie z Marianem Kunickim: „Mapę grzbietową Tatr” oraz „Tatry Zachodnie – Słowacja – przewodnik”, „Słowackie Tatry Zachodnie – przewodnik turystyczny”, „Polskie Tatry Zachodnie – przewodnik turystyczny” i „Historię Słowacji”.

Przyjaciele i rodzina, zwłaszcza zaś żona Halina, która uczestniczyła w szczególnej uroczystości w Tatrach – wciąż wspominają także inną datę – 22 listopada 2003 roku. Wówczas gliwickie Koło Przewodników Tatrzańskich obchodziło w Zakopanem 30-lecie istnienia. Uroczystość połączona była z nadaniem kołu imienia Tadeusza Szczerby. Po mszy w Starym Kościółku, którą odprawił o. Leonard z Wiktorówek, a uświetnił swoim śpiewem Jan Maria Dyga, odbyło się uroczyste spotkanie w Muzeum Tatrzańskiego Parku Narodowego i nadanie imienia.

Marlena Polok-Kin



„Po Koronę Ziemi na krawędzi życia i śmierci”- przedruk z „Dziennika Zachodniego”- z 8.04.2008

Po Koronę Ziemi na krawędzi życia i śmierci



Ogrodnik, Adamski i Kobielski na Mount Vinson na Antarktydzie

Gdy atakują najwyższe szczyty świata,
narażają się na śmierć. Wchodzą
do dzikiej dżungli nie bacząc
na plemiona ludożerców. O polskich
zdobywcach Korony Ziemi, którzy nie
boją się najbardziej ekstremalnych
wyzwań – pisze Oskar Berezowski

Jest ich trzech. Jeden skacze ze spadochronem, czasem otwiera „gdy trawa kłuje go w oczy”. Drugi potrafi strzelać by zabić. Czy potrafi zabić – nie chce powiedzieć. Trzeci ogląda świat z motoparalotni. Ich środowiskiem naturalnym są miejsca, w których człowiek musi walczyć o życie. To: masz Kobielski, Bogusław Ogrodnik i Janusz Adamski to jedni z najdzielniejszych ludzi na świecie, himalaistami z krwi i kości. Choć temu zaprzeczają, stają się żywymi legendami.

W styczniu poprowadzili wyprawę Korona Ziemi. Citrosept Expedition. Zdobyli najwyższy szczyt Antarktydy. Był ostatnim z listy największych gór z każdego kontynentu kuli ziemskiej. Wszystkie zdobyli za pierwszym podejściem. Jeszcze nigdy trzech ludzi jednocześnie nie zdobyło Korony Ziemi.

Same szczyty to jednak tylko wisienka na torcie. Droga ku górze okazuje się często o wiele bardziej dramatyczna niż sam atak na wierzchołek.

Kobielski, Ogrodnik i Adamski podjęli decyzję o zdobyciu Korony Ziemi, siedząc w targanym wichurą malutkim namiocie tuż pod szczytem Mount Everestu. Zdobyli go 18 maja 2006 r. – w dniu urodzin papieża Polaka. Gdy schodzili ze szczytu, nie wiedzieli o tym. Ale to dzięki Everestowi uwierzyli, że potrafią dokonać rzeczy niemożliwych.

Siedzieli w namiocie całkowicie niezauważalni dla świata. Gazety i stacje telewizyjne mówiły tylko o kobiecie, która szła z nimi – Martynie Wojciechowskiej. Byli w obozie czwartym na Przełęczy Południowej. Tam rany nie chcą się goić, nawet włosy i paznokcie nie rosną, organizm rozpaczliwie walczy o każdą cząsteczkę tlenu. Krew jest tak gęsta, że

przestaje docierać do czubków palców. Człowiek powoli traci kontakt z rzeczywistością, stopniowo traci wzrok, jest zagrożony obrzękiem mózgu. To dlatego naukowcy wysokość powyżej 7800-8000 m n.p.m. nazywają strefą śmierci. Człowiek ma trzy dni, by z niej wyjść. Jeśli mu się to nie uda – umiera.

Obóz czwarty to miejsce, z którego zaatakowali szczyt; wrócili do niego na krótko, żeby się przespać. – Mówi się, że atak szczytowy to w istocie ucieczka przed śmiercią – przyznaje spokojnie Ogrodnik, były komandos, który się kułom nie kłania.

Organizm trawi wówczas własne tkanki. Nawet najsiłniejsi himalaistami nie są w stanie na takiej wysokości iść zbyt długo. Aby zrobić jeden krok, muszą wziąć kilkanaście oddechów. Kobielski na szczycie spacerował jednak dwie godziny – bez dodatkowego tlenu. Polacy



Strzelba na plecach Kobielskiego miała służyć do obrony przed wrogim plemieniem

góry mają we krwi, bo ukryci w namiocie w miejscu, gdzie człowiekowi pozostają resztki świadomości, pomyśleli, że fajnie byłoby teraz zrobić coś równie niezwykłego: we trójkę ruszyć na podbój całego świata.

Niespełna rok później zmierzali już w kierunku Piramidy Carstensz, góry prawie o połowę niższej od Everestu, ale usytuowanej w najdziwniejszym miejscu świata – w Śnieżnych Górach Nowej Gwinei. Na końcu tej podróży mieli do pokonania 700 m płaskiej ściany – najtrudniejszy technicznie odcinek całej Korony Ziemi. Jeśli prześledzić ich trasę, można zmienić zdanie o tym, co znaczy „trudność”.

Do góry przedzierali się bowiem przez dżunglę, która może zmrozić krew w żyłach o wiele bardziej niż trzaskający mróz na górze Mount Everest. Carstensz najłatwiej jest zdobyć, rozpoczynając wyprawę z największej na świecie kopalni złota, srebra i miedzi Freeport Indonesia. Rząd Indonezji, który administruje tą częścią wyspy, nie wydaje jednak zgody na wstęp w te rejony. Złamanie zakazu grozi nawet śmiercią, można zostać zastrzelonym choćby za wędrówkę po tych okolicach bez zezwolenia (to najgorsze spotkało kilka lat temu dwóch wspinaczy).

Można też wylądować po drugiej stronie wyspy, wynająć helikopter, który przewozi wyprawę do stóp góry.

Nie ma jednak gwarancji, że firma, która weźmie pieniądze za lot, zawiezie tam ekipę. Poznałszy nieszczęśliwych, którzy już dwa razy byli na wyspie, wynajmowali helikopter i wracali do domu bez pieniędzy i zdobytego szczytu – opowiada Kobielski.

Polska ekipa (w sumie liczyła sześć osób) wybrała więc najtrudniejszą opcję: postanowiła przedzierać się przez „gorącą zwyczajną ziemię” – jak tubylcy nazywają prowincję Irian Jaya. Dżungla kryje wielkie kolorowe motyle, których rozpiętość skrzydeł można porównać do gołębi, nad głowami fruwały rajskie ptaki, papugi kakadu. Bajka...

Irian Jaya zamieszkują jednak plemiona, które jeszcze do niedawna zjadały ludzi. Teraz oficjalnie jest to zaka-

Polacy mieli ruszyć w dżunglę z miejscowymi przewodnikami. Ci wzięli pieniądze za doprowadzenie ekipy do góry, więc poszli, aczkolwiek niechętnie, bo kilka dni przed przybyciem do wioski wspinaczy w wyniku walk plemiennych zginęło czterech miejscowych wojowników. Polakom groziło, że mogą ruszyć sami i pewnie w tym miejscu zakończyłaby się ta historia. To bowiem najdziwniejsze miejsce na ziemi. Nie ma tam dróg, ścieżek, szlaków. Są drzewa, zwierzęta i... drzewa.

Były dni, że w ogóle nie widzieliśmy nieba – wspomina Kobielski.

Przewodnicy zabrali ze sobą pięć huków, dwie strzelby i... miejscowego pastora; bo tubylcy są religijni. Zamiejscowi bywali głównym daniem na kolacji. Jeszcze w latach 70. Papuasi potrafili zjeść pastora... w dowód uznania. Według miejscowych wierzeń, zjadając człowieka, przejmują się część jego zdolności. Ale Polacy nie mieli wyboru – musieli zaufać swoim przewodnikom.

Gdy weszliśmy do lasu, zauważyłem, że jeden z przewodników zostaje z tyłu i zostawia znaki na ziemi – opowiada Ogrodnik.

Szybko okazało się, że są to swoiste sygnały ostrzegawcze dla wrogiego plemienia – ktokolwiek pójdzie za wyprawą, zostanie zabity, ktokolwiek zbliży się do wioski, zostanie zabity po powrocie wyprawy, ktokolwiek nie zrozumie tych znaków – też zostanie zabity.

Nasi zdobywcy mogli czuć się bezpiecznie do pewnego czasu. Przez część drogi prowadzeni byli bez problemów przez swoich opiekunów (ekipa pokładała zaufanie w doświadczeniu antyterrorystycznym Ogrodnika). Tubylcy nie okazali się jednak dobrymi partnerami. W środku dżungli ogłosili, że dalej nie idą.

Nie dało się ich nawet przekupić. Gdy Szerpowie z Nepalu ogłaszają strajk, zawsze chodzi im o pieniądze. Nasze plemię do sklepu w mieście jeździ raz w roku i nie kupuje tam, ale wymienia papierki na ubrania, jedzenie, itd. Nie byli tym zainteresowani – opowiada Kobielski.

Ogrodnik zdecydował, że pójść sami – wezmą niezbędną ilość jedzenia, resztę upolują. Odmówili, za radą Cze-

cha, zjedzenia z tubylcami uroczystej pożegnalnej kolacji. To była bardzo niebezpieczna chwila. Tubylcy poczuli się głęboko urażeni. Ale poczuli respekt przed odwagą garstki białych, gotowych ryzykować konflikt z nimi, byle ruszyć w dalszą drogę.

Okazało się, że miejscowi byli przekonani, że Polacy, mając resztki opuszczonego obozowiska w dżungli, zrozumieją, że ludzie, którzy zostawili tam swoje namioty, musieli umrzeć najwyżej dwa dni później. W Irian Jaya można zniknąć bez śladu. Nawet Michael Rockefeller, syn ówczesnego gubernatora Nowego Jorku i członek jednej z najbardziej wpływowych rodzin świata, na Nowej Gwincei rozpułnął się

bez śladu. Nie pomogła fortuna ojca, Nelsona, wydana na poszukiwania, wysłanie armii. Dżungla wchłonęła go jak roślinka. A może skończył jako przysmak tubylców?

Determinacja Polaków złamała bunt przewodników i wyprawa doszła do stóp góry. Już na jej zboczach przeżyła kolejny dramat. Kilka osób nie było w stanie iść dalej. Na szczyt wdrapali się tylko Kobielski, Adamski i Ogrodnik. Ten pierwszy z 39-stopniową gorączką.

Na koniec zostawili sobie Mount Vinson. Górę stosunkowo łatwą technicznie dla doświadczonych wspinaczy, ale położoną na Antarktydzie. To ogromnie podnosi koszty wyprawy, bo transport powietrzny na wyspę zmopolizowała jedna firma. Dla Polaków walka o pieniądze na swoje wyprawy była niemal tak ciężka, jak samo wspinanie. Zdobyć Koronę Ziemi pochłonęło ok. 100 tys. dol. od osoby. Dużo? Za tyle bogaci himalaści wchodzi na Mount Everest i Kilimandżaro. Naszym musiało wystarczyć na siedem wypraw. Citrosept Expedition odbyła się już pod patronatem naszej gazety.

Mount Vinson śmiałkowicie zdobyli w styczniu. Byli wtedy jedyną niezależną grupą – reszta musiała iść z przewodnikiem. Teoretycznie powinni z nim iść także białe-czerwoni, ale członkowie Citrosept Expedition mieli większe doświadczenie niż niejeden przewodnik. Gdy wrócili do bazy Patriot Hills, czekał na nich z gorącą zupą Yoo Hankym, jeden z szefów koreańskiej federacji alpinistycznej. Jesteście Polakami. Wiedziałem, że wam się uda – powiedział.

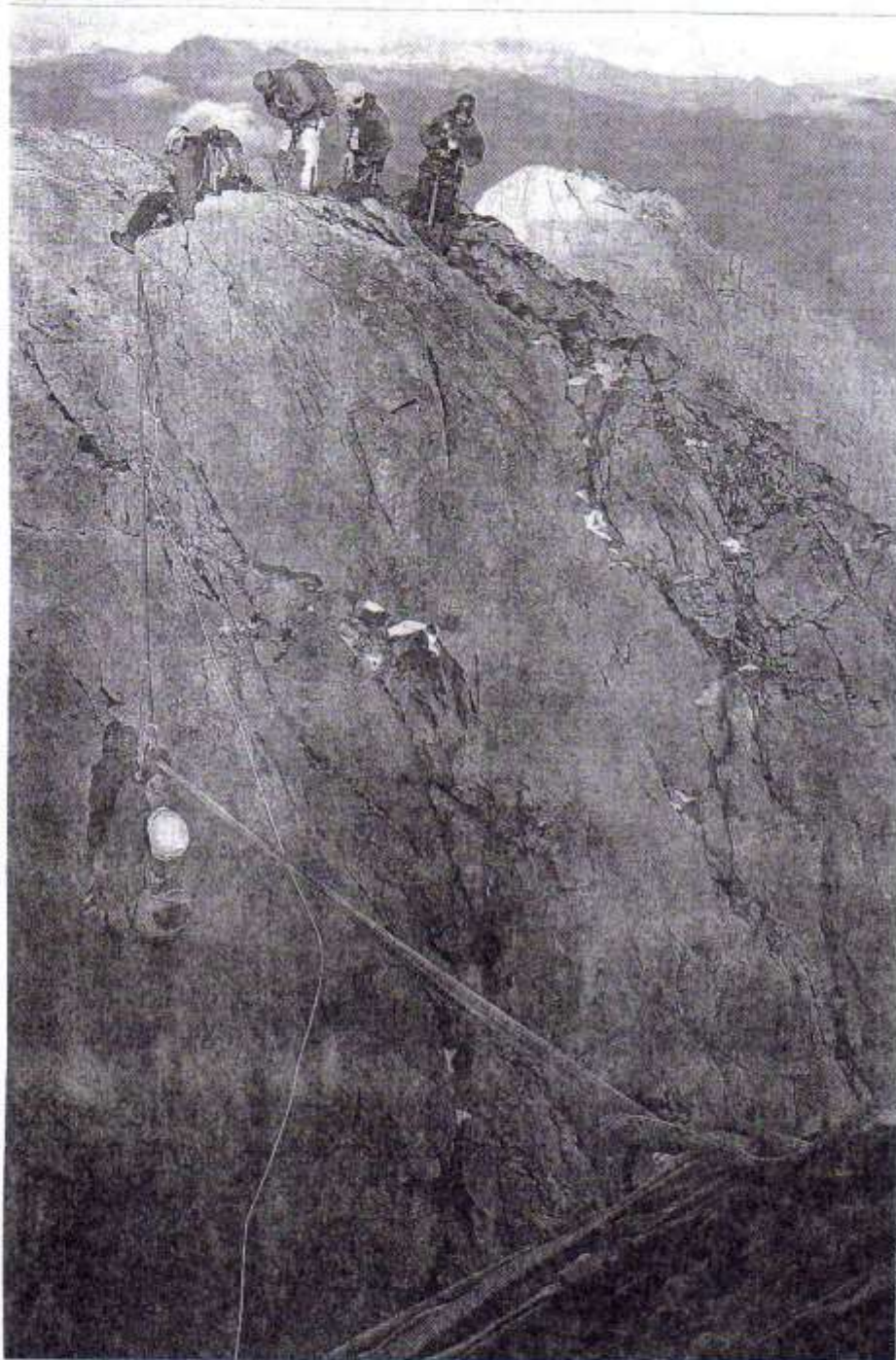
Czy to już jest koniec? – Nie! Choć początkowo nie wyobrażałem sobie, że można osiągnąć coś więcej – mówi Kobielski.

Jest coś takiego jak „biegun niedostępności” – wyjaśnia Ogrodnik. To miejsce na Antarktydzie najdalej oddalone od każdego z miejsc wybrzeża. Nikt tam nie doszedł na własnych nogach. Przed rokiem pojawiła się tam pierwsza ekspedycja, ale w marszu wspierały ich specjalne latawce. – Ja do Księgi Rekordów Guinnessa zgłosiłem rekord deniwelacji. Po wejściu na Everest chcę zejść 152 m pod wodę. W sumie deniwelacja, czyli różnica wysokości, wyniesie 9000 m – mówi Ogrodnik.

Skąd pomysł? Mówi się, że zejście 100 m pod wodę to osiągnięcie porównywalne z wejściem na Everest. Nikt nie zrobił jednak dwóch tych rzeczy naraz, żeby móc to potwierdzić. – Fajnie byłoby z takiej głębiny wyjść żywym – kończy Ogrodnik.

Teraz Polacy chcą dojść na tzw. biegun niedostępności na Antarktydzie

zane. Nieoficjalnie rząd Indonezji boi się tam wpuszczać turystów. Od polskiej wyprawy zażądano, by wynajęła komandosów do ochrony. Sześćdziesięciu. Przed wyprawą w militarnym stylu uchronił wspinaczy znajomy Czech. Zna miejscowy język, ma kontakty i dar przekonywania.



FOTOWANIE: KORBELIN (4)

Balansowanie na granicy życia i śmierci w drodze na Piramidę Carstensa

Korona Ziemi

- **Ameryka Południowa:** Aconcagua (6959 m n.p.m.)
- **Azja:** Mount Everest (8848 m n.p.m.)
- **Europa:** Elbrus (5642 m n.p.m.)
- **Afryka:** Kilimandżaro (5895 m n.p.m.)
- **Oceania:** Piramida Carstensa (4884 m n.p.m.)
- **Ameryka Północna:** Mount McKinley (6194 m n.p.m.)
- **Antarktyda:** Mt. Vinson (4897 m n.p.m.)

„Mariusz Zaruski: człowiek z granitu”-przedruk z „Rzeczpospolitej” z : 3-4.11.2007

Tomasz Stańczyk ■ Kapitan żaglowców zdobywa tatrzańskie szczyty

Mariusz Zaruski: człowiek z granitu

Mariusz Zaruski to jedna z legendarnych postaci Zakopanego, pionier narciarstwa i zimowych wejść na tatrzańskie szczyty, założyciel i pierwszy naczelnik Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Trzydziestosiemnastoletni był zesłaniec syberyjski, kapitan rosyjskich żaglowców osiedlił się pod Giewontem w 1904 r. Jego wznowiona właśnie – po pół wieku – książka „Na bezdrożach tatrzańskich” opowiada o dziesięciu latach intensywnie przeżytych wśród gór.

Zaruski pisze, że zmaganie się z górami jest niezmierzniętą, bo połączoną ze świadomością niebezpieczeństwa śmierci, szkołą charakteru. A sądził, że śmierć, ową „mistrzynię życia” poznamy zdecydowanie za późno, dopiero w momencie zgonu. Uważał, że odech śmierci „w stał charakteru zamienia, stygmaty wieczyste na duszy wypala”. Zaruski opisuje, między innymi w rozdziale „Myśli człowieka spadającego z dachu”, momenty, w których jego życie zależało od łutu szczęścia, ale także od zachowania zimnej krwi oraz od woli walki. Zaruski uważał ponadto, że w konfrontacji z potęgą i grozą gór „sprawy życiowe go kurnika znajdują się na właściwym miejscu”.

Obecne wydanie książki (pierwsze w 1923 r.) zawiera także rozdziały z innej publikacji Zaruskiego – „Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego” (1922). Mamy więc, oprócz opisów jego pierwszych zimowych wejść na szczyty, w tym na nartach, m.in. na Granaty, Kościelec, Mały Kozi Wierch, Mieguszowiecki Szczyt, także relacje z kilku akcji ratowniczych TOPR, w których brał udział. Zaruski opisuje słynną, dramatyczną i nieudaną próbę uratowania Stanisława Szulakiewicza na Małym Jaworowym Szczycie, podczas której zginął Klimek Bachleda, oraz wyprawę do żlebu Drege’a w Granatych po rodzeństwo Bandrowskich i Hackbeilównę.

Dwa rozdziały poświęcone są Mieczysławowi Karłowiczowi, kompozytorowi i zapalonemu taternikowi, który zginął w 1909 roku, przysypany przez lawinę pod Kościelcem. Wykonane przez niego tatrzańskie zdjęcia są reproduktowane w książce. Zaruski pisał: „Gdyby nawet przez

masowy napływ turystów ta pierwotność (Tatr) utraciła swój charakter właściwy, pozostała Tatrzy zimowe – góry szklane, o których prawią bajki dziecinne – Tatrzy osłonięte lodową i śnieżną zbroją, niedostępne dla najszerszych mas, szukających na łatwych ścieżkach wrażeń popularnej turystyki, Tatrzy pustynne, świątynia ciszy i dumań najszerszych dla wybranych a miłujących je taterników”.

Był jednak przeciwny nadawaniu taternictwu sportowego charakteru, dążeniu do bicia rekordów, rywalizacji z innymi. Uważał bowiem, że istotą taternictwa jest walka z przeciwnościami i niebezpieczeństwami świata tatrzańskiego, czyli w gruncie rzeczy z samym sobą.

Po I wojnie światowej, w której wziął udział jako żołnierz Legionów, Zaruski nie wrócił już na stałe pod Tatry. Jego pasją stało się propagowanie żeglarstwa i wychowania morskiego. Zmarł w 1941 r. w sowieckim więzieniu w Chersoniu. W 1997 roku jego prochy złożono na Pękowym Brzyzku w Zakopanem. ■

Mariusz Zaruski „Na bezdrożach tatrzańskich”. Wydawnictwo LTW, Łomianki 2007



Mariusz Zaruski na Rohaczach

Dolomiti Friulane 2007

Odkryta nowa jaskinia

Wyprawa była bardzo udana i odnieśliśmy kolejny sukces. Udało nam się odkryć kolejną jaskinię. Nazwaliśmy ją A19 bis – mówi Agnieszka Dziubek ze Speleoklubu Dąbrowa Górnicza. Grotolazi z Zagłębia wrócili z wyprawy do włoskich Alp.

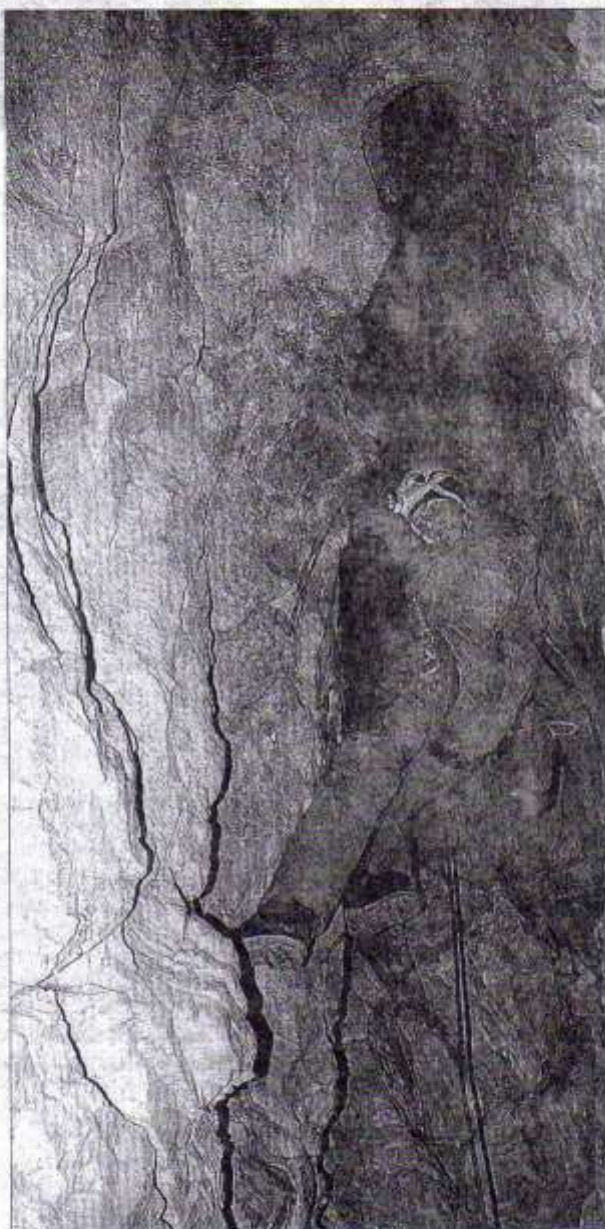
Członkowie dąbrowskiego speleoklubu w Dolomity, w rejon Byusa dei Vediei jeżdżą regularnie od kilku lat, by badać tamtejsze jaskinie. – Pierwszy raz w tym regionie byliśmy dwa lata temu. Była to wyprawa o charakterze rekonesansowym. Chcieliśmy rozpoznać teren. Tymczasem odkryliśmy nową jaskinię, którą nazwaliśmy AQQ. W kolejnym roku udało nam się znaleźć jej połączenie z inną jaskinią, Buca Mongana. Dzięki temu powstał tu pierwszy system jaskiniowy. Teraz udało nam się obie jaskinie połączyć z następną. Nazwaliśmy ją A19 bis. Ma chyba największą salę w tym regionie. Komin liczy aż 30 metrów – mówi Agnieszka Dziubek.

Pobyty w Dolomitach członkowie wyprawy przeznaczyli nie tylko na eksplorację jaskiniową, ale także na robienie pomiarów położenia otworów oraz nowych jaskiń i sporządzenie odpowiedniej dokumentacji.

– W ubiegłym roku przy tworzeniu planów i zapisywaniu wszystkich danych na temat nowych szlaków w jaskiniach wykorzystywaliśmy jednego palmtopa. Teraz mieliśmy dwa takie urządzenia, co ułatwiło i usprawniło nam pracę – podkreślają uczestnicy wyjazdu.

Dodajmy, że wszyscy członkowie wyprawy wrócili cali i zdrowi. – Na szczęście nie było żadnych wypadków. Oczywiście każdy z nas ma zadrapania czy siniaki, ale to normalne, jeśli chce się być grotolazem – uważa Agnieszka Dziubek.

Tegoroczna wyprawa nie jest ostatnią w tamten region. Grotolazi już planują kolejną. – Rejon Byusa dei Vediei jest stosunkowo mało



ARCHIWUM WYPRAWY

Zagłębiowscy grotolazi od kilku lat z sukcesami eksplorują rejon Byusa dei Vediei w Dolomitach.

znany i mamy tam pracy na lata – twierdzi Agnieszka Dziubek.

Członkowie Klubu Speleologicznego z Dąbrowy Górniczej na swoim koncie mają wiele osiągnięć i ambitnych jaskiniowych przedsięwzięć. W swojej 35-letniej historii eksplorowali jaskinie m.in. na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, w Tatrach, na Papui No-

wej Gwinei, Spitsbergenie, Kaukazie, w Rumunii, Francji i Niemczech, organizowali wyjazdy w Himalaje i do Maroka. Od 2005 roku dąbrowscy speleolodzy regularnie jeżdżą w Alpy do obszaru Byusa dei Vediei. Również w tym roku, już po raz trzeci, udadzą się w Alpy, by badać tamtejsze jaskinie. Wyprawa wyruszy za tydzień, 11 sierpnia. (MIM)

W polskim środowisku górskim wystarczyło powiedzieć Baron. Wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi. Andrzej Skłodowski – instruktor alpinizmu, starszy ratownik tatrzański, dziennikarz, międzynarodowy przewodnik wysokogórski, autor przewodników wspinaczkowych, perfekcjonista we wszystkim, co robił, zginął 5 grudnia śmiercią tragiczną w swoim mieszkaniu w Warszawie.

Urodził się w 1944 r. w Częstochowie. Absolwent Wydziału Etnografii, pracował wiele lat jako dziennikarz Polskiej Agencji Prasowej. Dużo publikował w prasie górskiej, choć mówił, że nie potrafi pisać artykułów. Na jego wiedzy i tekstach zawsze można było polegać: czyste fakty, bez przymiotników, informacje rzetelne do bólu.

Najważniejsze były dla niego góry. Albo w nich był, albo żył planowaniem wyjazdu w góry – wspomina przyjaciel Piotr Aleksandrowicz, były redaktor naczelny „Rzeczpospolitej”, którego Andrzej wprowadzał w świat wspinaczki w Alpach, Tatrach, Himalajach. – Cieszył się Babcią i Snieżnikiem. Kiedy w Alpach z powodu zadyмки nie można było przez pięć dni wyjść ze schroniska, to też był szczęśliwy. Był przecież w górach!

– Andrzej był wzorem wspinacza – opowiada Artur Paszczak, prezes Warszawskiego Klubu Wysokogórskiego. – Bardzo dużo szkolił po koleżeńsku, gratis. Dawał nam przykład przez działanie, a nie gadanie. Pomimo ukończenia 60 lat cały czas intensywnie się wspinał. Brał młodych ludzi w góry i potrafił ich zagonić. Nie patyczkował się z nimi. Facet o żelaznej kondycji i żelaznych zasadach. Był filarem naszego klubu.

– Głośny, pełen życia, energii i humoru aktywnie działał w Polskim Związku Alpinizmu. Wszędzie go było pełno. Koleżeński, po prostu życzliwy facet – mówi Hanna Wiktorowska, wieloletni sekretarz PZA.

„Baron” przeszedł ok. 1400 dróg wspinaczkowych: latem i zimą, w tym wiele nowych także w Kaukazie, Pamirze, Andach.

Od 40 lat był ratownikiem tatrzańskim. – W ubiegłym roku dyżuruwał rekordową ilość czasu: 1400 godzin

– mówi Adam Marasek, zastępca naczelnika POPR.

– Głównie siedział w Morskim Oku ze względu na doskonałą znajomość topografii tego terenu. Dla wspinaczy tatrzańskich był guru. Dla nas kolegą, którego ceniliśmy za wiedzę, osiągnięcia taternicze i rzetelność, za profesjonalizm. Znal się na tym, co robił.

Marii Łapińskiej, kierowniczce schroniska w Morskim Oku, trudno uwierzyć w wiadomość o jego śmierci. – Zrobił rezerwację na sylwestra! Pół zimy u nas spędzał. Był rezydentem w Morskim Oku, wtopionym, wrośniętym w krajobraz. Zawsze chętny do pomocy, podtrzymywał innych na duchu. Ratownik z powołania. Dla nas był jak członek rodziny. Dziwczyny z personelu specjalnie dla niego kotleciki bez panierki smażyły. Pokazywał zdjęcia z wypraw. Snuliśmy plany obchodów 100-lecia schroniska w przyszłym roku. Nie mogę sobie wyobrazić zimy bez niego!

Na wieść o śmierci Andrzeja jakiś wspinacz napisał w Internecie: „... głos nie do zapomnienia, prawie jak Himelbach... czarny dzień wczoraj”. Ktoś inny westchnął: „Nie będzie już drugiego takiego...”.

–Monika Rogozińska

•WSPOMNIENIE

Andrzej Skłodowski
(1944 – 2007)

Po prostu życzliwy facet



„Jeden zamiast dwóch” - o wyprawie na Pik Korzeniowskiej- przedruk z „Dziennika Zachodniego” z 15-16.09.2007

Jeden zamiast dwóch

Młodzi, śląscy alpinści chcieli zdobyć położone w Pamirze Pik Korzeniowskiej i Pik Somoni. Udało im się wejść tylko na pierwszy ze szczytów. – Przed wyjazdem wiele czytaliśmy o tych górach, ale teoria różni się od rzeczywistości. Nie spodziewaliśmy się, że będzie tak trudno – przyznają uczestnicy wyprawy.

W skład ekipy wchodziły cztery osoby: Aleksandra Dzik, Maciej Westerowski, Tomasz Borowiec i Jacek Żyłka-Żebracki. Troje pierwszych pochodzi ze Śląska. Są członkami Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich w Katowicach oraz Klubu Skialpinistycznego Kandahar. Nie była to ich pierwsza wyprawa do Pamiru. Przed rokiem weszli na Pik Niepodległości (dawniej Lenina – przyp. red.).

Tym razem ich celem były Pik Korzeniowskiej (7.105 m n. p. m.) i Pik Somoni (7.495 m n. p. m.). – Zdecydowaliśmy się na nie, bo szczyty te są piękne i przystępne cenowo, choć trochę się przeliczyliśmy. Myśleliśmy, że zapłacimy po 6.000 zł, tymczasem wyszła z tego kwota ponad 7.000 – mówi Maciek Westerowski.

– Przy wyborze obu gór sporą rolę odegrała też perspektywa zdobycia tzw. Śnieżnej Pantery (wejście na pięć siedmiotysięczników

położonych w Pamirze: Korzeniowskiej, Somoni, Niepodległości, Pabiedy i Chan Tengri – przyp. red.). Wśród alpinistów ze Wschodu jest ona bardziej ceniona niż zdobycie Mount Everestu – dodaje Tomasz Borowiec.

Bazary jak sklepy

Wyprawa rozpoczęła się pod koniec lipca. Polacy przez Sztambuł, po dwudziestogodzinnej podróży, dotarli do Duszanbe, stolicy Tadżykistanu. – To takie typowe azjatyckie, poradzieckie miasto. Ulice są szerokie, a domy szare i niskie. Gdyby nie luksusowe luksusy na ulicach, można byłoby powiedzieć, że czas się tam zatrzymał – opowiada Borowiec. – Jedzenie nie było drogie, np. kilogram winogron, po przeliczeniu kosztował 1,5 zł, a autobus – 2 zł. Drogie było jedynie piwo, a coca-cola można było kupić jedynie w trzech sklepach – dodaje.

Uczestnicy wyprawy największe zaskoczenie przeżyli na miejscowym bazarze. Okazało się bowiem, że ceny nie podlegają targowaniu. – Nasze próby zbijania ceny były nawet złe wi-

dziane. W Tadżykistanie bazy traktowane są jak zwykłe sklepy – twierdzi Westerowski.

W Duszanbe alpinści nie zabawili zbyt długo. Udało się do Dżigatal, niewielkiego miasteczka u podnóża Pamiru, a stamtąd śmigłowcem polecili do bazy na polanie Moskwin.

– Już w helikopterze mieliśmy okazję zobaczyć nasze cele, bo pilot podlotał pod Pik

Somoni. 3.200 metrowa ściana zrobiła na nas ogromne wrażenie. To było coś niesamowitego. Dopiero wtedy przekonaliśmy się tak naprawdę, na co się porwaliśmy – wspomina Borowiec.

Baza główna składała się z domków, namiotów, kantyn, w której znajdował się nawet telewizor. Były też ubikacje i prysznic.

Stąd po kilku dniach, gdy miejscowi przewodnicy zabezpieczyli najtrudniejsze odcinki, alpinści ruszyli w górę. Celem był Pik Korzeniowskiej.

– Pierwszy obóz mieliśmy założyć na 5.100 metrów. Początkowo szliśmy lodowcem, potem droga stała się bardzo nieprzy-

jemna i niebezpieczna. Porównałbym ją do Granatów w Tatrach. Cały sprzęt wysokogórski,

skorupy, raki, musieliśmy wnosić na barkach – twierdzi Westerowski. – Do tego droga była bardzo kontuzjogenna. Spotkaliśmy Czecha, który schodził z góry kulejąc. Skręcił nogę w kostce i pomogliśmy mu zejść do bazy – dodaje Borowiec.

Mimo trudności całej czwórce udało się wejść na szczyt i szczęśliwie wrócić do obozu głównego. – Panora-

ma z Piku Korzeniowskiej była przepiękna. Widać było cały Pamir łącznie z Pikiem Niepodległości. Dla takich chwil warto się wspinać – zgodnie twierdzą uczestnicy wyprawy.

Złe jedzenie?

Pik Korzeniowskiej był jednak tylko wstępem do prawdziwego wyzwania, czyli Piku Somoni. Jest on najwyższym szczytem byłego Związku Radzieckiego. Został zdobyty po raz pierwszy przez rosyjsko-tadżycką wyprawę w 1933 roku.

Droga, którą zamierzali iść katowiccy alpinści nosi na-

zwę Borodkina. Wiedzie przez lodowiec Waltera, Pik Borodkina na Pamirskie Plateau (wyszący 11-kilometrowy lodowiec).

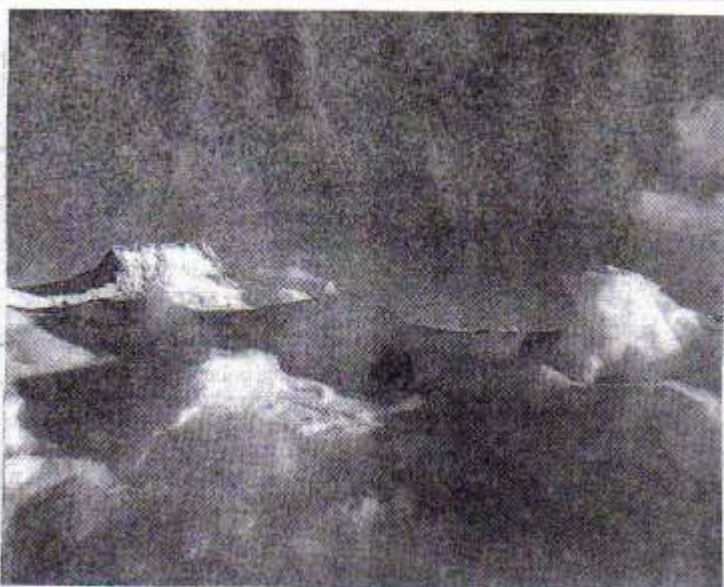
Na szczyt wyruszyli Ola Dzik i Tomasz Borowiec. - Szliśmy z parą z Izraela, potem dołączyli do nas dwaj Azerowie oraz Rosjanin i Litwin. Pogoda nam dopisywała, ale niestety potem się zepsuła. Zaczął sypać śnieg. Cały czas musieliśmy torować w nim drogę, a czasami sięgał aż po szyję. Ostatecznie doszliśmy do 6900 metrów i z powodu złych warunków atmosferycznych musieliśmy zawrócić - wspomina Borowiec.

Przez trzy dni czekali na poprawę pogody. Niestety nie mieli szczęścia, a siły ich opuszczały. - Doszliśmy

do wniosku, że nie warto dłużej czekać, że nie damy rady i podjęliśmy decyzję o powrocie - mówi Borowiec. - Może brakło nam doświadczenia? Może przygotowaliśmy złe jedzenie? Mieliliśmy ze sobą żywność liofilizowaną, a zbyt mało zwykłego jedzenia, tzn. bakali i płatków owsianych i mleka w proszku - uważa Borowiec.

Mimo niepowodzenia na Piku Somoni alpinści do kraju wrócili zadowoleni i już planują kolejne wyprawy. - Planujemy szerokie. Pamir wciąż ciągnie, ale może zdecydujemy się na Amerykę Południową. Pięknych gór jest naprawdę bardzo wiele - uważa Westerowski.

Jedynie Ola Dzik ma zamiar w przyszłym roku wrócić pod Pik Somoni. Na lodowcu zakopała nawet jedzenie, by łatwiej jej było wejść na szczyt. (MIM)



Pamir należy do najpiękniejszych gór na świecie.



Śląscy alpinści na szczycie Piku Korzeniewskiej.

WYDAWCA: POLSKIE TOWARZYSTWO TATRZAŃSKIE O/PTT im. Gen. M. Zaruskiego

Organizacja Pożytku Publicznego Nr KRS 0000115547

41-200 Sosnowiec ul. 3 Maja 29/4A tel: 0-32-2663815, www.sosnowiec.ptt.org.pl

Redakcja: Redaktor Naczelny - Zbigniew Jaskiernia, Krzysztof Czesak - Członek Redakcji